NRLF-1
MAIN

J. Joergensen

Przypowieści

Księgarnia-Wysyłkowa
Gazety Grudziądzkiej
Grudziądz-Graudenz
Pr. Zach. - W. Pr.

PRZYPOWIEŚCI.

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/przypowiesci0000janj

Johannes Jörgensen

JAN JOERGENSEN

BIBL. UNIV. ST. STEPHANI PROTOM.
O. FF. MIN. CONV.
SYMBOLIN PL.

PRZYPOWIEŚCI

ZA ZEZWOLENIEM AUTORA
TŁUMACZYŁ
FRANCISZEK MAURYCY WOLAŃSKI.

Z PORTRETEM AUTORA.

POZNAŃ.
NAKŁADEM DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.
:: NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC. ::
1914.

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

PRZEDMOWA.

Długo nie znano prac Jörgensena, dzisiaj pisarza głośnego, cieszącego się zasłużoną sławą. Pierwszy Perrin, wydawca, odważył się około 1898 roku wydać tłumaczenie jednego z jegodzieł w języku francuskim, a to broszury p. t. »Życie i Nicość« (»La Vie et le Néant«) tłumaczonej znanem piórem d'Armailhacq. Ale że wydanie, pod względem zewnętrznym, było za skromne i broszurka była niewielka, zginęła więc wśród tylu wydawnictw, jakiemi corocznie zarzucany bywa Paryż — nie zwróciła na siebie uwagi.

Wówczas to znany we Francyi krytyk, człowiek błyszczący talentem, ale nie charakterem, chwalący i potępiający z równą gwałtownością, twór dziwaczny, zapalny a dowcipny, katolik o wierzeniach sobie właściwych i nieubłaganych, żyjący w swych czterech ścianach jak na odludziu, na krańcach mody, przesądów i zwyczai, Leon Bloy, jednem słowem — uznał tę pracę za

rzecz piękną, a Jana Jörgansa za wielkiego pisarza. Ale któżby brał na seryo porywy i podziwy Leona Bloy!

I jeszcze niżej zapadły w składach księgarskich pisma Duńczyka, aż zaczęto znów o nich mówić po słowach Teodora de Wyzewa, które pewne siebie rozbrzmiały z łamów »Revue des deux Mondes«. Tam zachęcał on swą brać, pracującą w dziedzinie ducha do zajęcia się tworami Duńczyka, który po burzliwej wielce młodości na katolicyzm przeszedł.

To było hasłem do zainteresowania się autorem i dziełami jego. Pojawił się artykuł w »Debats«, tłumacze biegli do dzienników i pism peryodycznych, a »Mois Littéraire et Pittoresque« otwarło nową dlań erę.

Gdy się przekonano, że świat czytający zajmuje się oryginalnym poetą z Danii, zaczęto tłumaczyć dzieła jego na różne języki europejskie.

Jan Jörgensen urodził się w Swendborg na wyspie Fionia 6 listopada 1866 r. Ojciec jego, żeglarz z zawodu, brał częstokroć małego chłopaka na swe po świecie wyprawy. Na fiordach skandynawskich odczuł młodą swą wrażliwą du-

szą potężny urok romantyzmu, właściwy tamtejszej przyrodzie. Przytem czytał Byrona, Lenaua, Heinego, Turgeniewa i Shalleya. Zapalił się do Fausta i arcydzieło Goethego stało się jego codzienną lekturą; wnet książka J. Brandesa »Główne Prądy« popchnęła go na tory panteizmu i filozofii natury. Ale i one nie umiały go zadowolić. Obdarzony wrodzoną ciekawością, oddał się cały filologii, potem zoologii, wreszcie przeniósł się w dziedzinę poezyi romantycznej. W r. 1887 wydał pierwsze swe rymy. Przytem jako współpracownik poczytnego dziennika radykalnego zajął wnet stanowisko w rzędzie młoych duńskich literatów, którzy wierzyli w Zolę i Poëgo, w Brandesa i Swinburna, Huysmansa, Verlaina i Baudelaira. Powiada sam o sobie, że był »jako piasek ruchomy, na którym nic długo ostać się nie może«. Czysty materyalizm mu nie wystarczał, dusza wciąż czegoś pragnęła, umysł się błąkał. Jakieś niejasne skłonności mistyczne skłaniały go do szukania Boga. W swoich »Wyznaniach« wyspowiadał się szczerze ze swych niezaspokojonych dążeń i porywów, swych strasznych mąk, które przez lat kilka dręczyły go moralnie. — Powiada,

że czytając »Sagesse« (»Mądrość«) Verlaina, po raz pierwszy w życiu o katolicyzmie rozmyślać począł. Długo walczył przeciw tej, prześladującej go religii. W latach 1893—96 przelatują w jego pismach, nasyconych gorącą i smętną zmysłowością, błyski jakby modłów, rozlegają się odgłosy walki, krzyki rozpaczy. Luteranie Kopenhagi sądzili, że wraca im syn marnotrawny. Ale Jörgensen dalej był od nich, niż kiedy, gdyż wtedy właśnie 16 lutego 1896 r. przeszedł formalnie na łono katolickiego Kościoła. — Nie można dość mówić o odwadze cywilnej Jörgensena, który w swej ojczyźnie i w swem od dziecka otoczeniu, mimo własnej przeszłości, dzieł wydanych i już zdobytego imienia na ten krok się zdobył, ochoczo się narażając na spodziewany niedostatek i zapomnienie, a nawet otwartą nienawiść, by iść li za głosem sumienia i przekonania. Ostatnie jego dzieła, tak poezyą jak i prozą, pełne ascetycznej prawie pokory i skruchy, nie mniej życie przykładne, budujące nawet, z tych czasów były znakiem widzialnym tego przejścia i wewnętrznego przeobrażenia.

Nie wykluczam, że zaważył tu na szali ów katolicyzmowi właściwy mistycyzm romantyczny,

tak drogi naszemu poecie, ale przedewszystkiem umysł jego krytyczny i ciekawy, logiczny i wymagający, który tą tylko religią zadowolić się był w stanie.

»Przypowieści«, które dziś czytelnikom przedstawiamy, nie są li wypływem poetycznej prozy wysoce lirycznej duszy, są to także arcydziełka prawego rozumu, zdrowego sądu, poważnej filozofii. Są oryginalne, ale nie dziwaczne. Jest w nich spokojna stałość wiary rozumnej i gorącej, którą poeta się przejął instynktownie od młodości a zasadniczo i wyłącznie od nawrócenia swego.

Długo musiał Jörgensen giąć się pod skutkami tego kroku. Dzienniki były dlań zamknięte, literatura ojczysta wyklęła go formalnie, Bogu samemu spodobało się doświadczyć go w tym czasie. Opuściwszy bowiem Kopenhagę, gdzie na dalekiem przedmieściu skromne, samotne z rodziną pędził życie, udał się do Włoch, i tam w Asyżu, w tej ojczyźnie mistyki Bożej, do której tęsknił, zapadł na tyfus i ciężko chorował. Nieco później, w Rzymie, zaniemogła mu żona i był zmuszony wracać z nią do kraju.

Wtedy to Dania uznała, że nie można dłużej trzymać w ukryciu syna tej miary i na wniosek jedynego podówczas katolickiego posła do parlamentu uchwalono dlań od kraju 800 koron zapomogi; jednocześnie pewien dziennik umiarkowany ofiarował mu miejsce współredaktora. Znalazł się tedy chleb powszedni dla niego i dzieci i pole pracy, którą ukochał.

W Niemczech przetłumaczono kilka jego utworów. I Francya się do niego nawróciła, choć późno, ale szczerze, i pod wpływem kolegów w piórze, ks. Rivière, Muret, d'Armailhacq, pani Husson, powstał prąd, z którego wyjdą zapewne liczne i dobre tłumaczenia.

Obecnie nakładem Drukarni i Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu ukazują się tłumaczenia polskie kilku dzieł wybitnego myśliciela i poety.

Trzeba tedy by wielu, bardzo wielu dobrze myślących katolików czytało to dziełko, gdyż i ono wskazuje »tę drogę tajemną, która jedynie do celu prowadzi, na znalezieniu której nam wszystkim zależy, a szczególnie tym, co obdarzeni są młodą duszą i gorącem sercem« (Patrz »Eritis sicut Deus«.) W tłumaczeniu tem, pod

szatą może mniej wykwintną, ale wierną, znajdą czytelnicy nieco czaru i żywotności oryginału, a przedewszystkiem poznają męża, który czemś więcej jest, niż pisarzem, bo charakterem czystym i człowiekiem iskrą Bożą obdarzonym i pewnie na intencyę jego rodziny i jego samego zwrócą się z modlitwą do Boga, do Którego sam się zwrócił i Którego słowem i czynem, piórem i życiem opiewa.

„..ERITIS SICUT DEUS..”

We formie listu do Młodzieńca
::: i jako rodzaj wstępu. :::

Drogi przyjacielu!

Jeżeliś zapomniał o przepisach dekalogu, a katechizm wyleciał ci z pamięci, to znając zapewne Goethowskiego »Fausta«, przypomnisz sobie te trzy słowa:

»Będziecie podobni Bogu...«

Stare to słowa i na pierwszy rzut oka bezwartościowe. A przecież one zawierają — co już Heine był odkrył — istotę całej nowej, najnowszej filozofii.

I ty, mój drogi, chcesz zapewne być podobnym Bogu. Jest to twojem prawem, pragnieniem słusznem, najsłuszniejszem nawet, bo my na to tylko istniejemy, by się stać coraz podobniejszymi Bogu. Ale jeżeli zechcesz przyjąć odemnie radę, to nie chodź do doktora Fausta, by ci do tego celu wskazał drogę. Bo, jak Goethe sam wykazał, doktór Faust zrzucił togę doktorską i przyodział się jak obrazek z najnowszego przeglądu mód. A na jego poważnym fotelu rozsiadł się, czapkę na oczy nasuwając, djabeł

we własnej osobie; i to Goethe mówi. A jego rady i sposoby są złe. Sam to zresztą utrzymuje, gdy, po odejściu młodego adepta wiedzy, którego posłał po czerwone owoce złotego drzewa życia, ze zjadliwą powiada ironią:

»Z wielką radością będziesz kurz zjadał,
mój prastryj w raju, wąż, również tak gadał.«

To chyba do przyjemności nie należy, leżeć jak długi na ziemi i opychać się kurzem i błotem ulicznym, wiedząc, że się przez to staje kuzynem djabła i do niego podobnym.

Wtedy może przyjść człowiekowi jako ideał na myśl syn marnotrawny, gdy chciał się objeść strawą, zgotowaną dla świń. A przecież marny to ideał i strasznie nizki.

Więc lepiej do doktora Mefista nie chodzić po radę.

Ale i do profesora Wagnera iść niema po co. Przypomnij sobie.

Był to w dobrych jeszcze czasach wierny famulus wielkiego Fausta, ale od dnia porwania go przez djabła, ten, którego Goethe nazywa der trockene Schleicher, miał wielkie powodzenie — na bezdrożach. Stał się wnet gwiazdą na horyzoncie twórczej materyalistycznej ludz-

kości. W tym samym czasie, gdy ci Mefisto pokazuje drogę do widzenia w każdej kobiecie co najmniej pięknej Heleny, stary, zasuszony Wagner uczy cię najzgubniejszej wiedzy: wytworzenia Homunculusa. Słyszałeś zapewne, że Homunculus jest czemś w rodzaju embryona, który rodzi się sztucznie w alembiku, czy szklanej probówce. Był to szczyt nadziei i marzeń alchemików wszystkich czasów, ale sława wytworzenia tego doskonałego tworu naukowego doświadczenia w laboratoryum przypada profesorowi Wagnerowi.

Czyś nigdy nie spotkał się z Homunculusem? Chodzi ich wielu po świecie, choć nie każdy i nie zawsze widzi otaczający go szklany dzwon. Ale wyciągnij tylko rękę po jednego z tych tworów, a uczujesz w dotyku zimną, gładką powierzchnię szkła. Znam sekret wytworzenia go, gdyż chodziłem do alchemicznej kuchni Wagnera.

»Czy człowiek naprawdę ma być podobny Bogu?« zwykł był mawiać w roztargnieniu. »Wszak cała rzecz w tem, by w sobie wylęgnąć Homunculusa, by się samemu weń przetworzyć.« A więc po pierwsze należy wniknąć w siebie duchowo i fizycznie, by się stać małym, możliwie najmniejszego wymiaru. W tym celu zalecał dziwny

profesor octy i essencye najmocniejsze, jakie posiada literatura i medycyna. Powtóre należało zamknąć się, zaskorupieć niejako w sobie, ześrodkować w istocie swej jaźni, by niczem innem nie być, tylko i wyłącznie sobą. Wreszcie trzeba było sobie wytworzyć okrywę szklaną, zrobić się przezroczystym ale nienaruszalnym zarazem — i wtedy było się tym mechanicznym i wytwornym embryonem, materyą doskonałą, która nie istnieje zgoła poza swym dzwonem i nie styka się zupełnie ze światem, mówiącą niejako: »Patrzcie narody i światy! Podziwiajcie i czcijcie!!!«

Przyjacielu, nie stawaj się Homunculusem, jeżeli chcesz być podobnym Bogu!

Więc ani do niestałego Fausta, ani do mglistego Wagnera..... zostaje..... tak, idź do szkoły. Ale dokąd, rzekniesz, do kogo? Ha, do kogo, jak nie do nieszczęsnej, uwiedzionej Małgorzaty?

Prawda, że się nie wynosi i nie puszy, jak kochanek jej, ufny w siebie i swe siły, Faust, że inteligencya jej nie godna rozwiązać sandałów u trzewików Wagnera — ale serce złote, ale brylantowy czyn.

Ona swe kochanie składa jako wonną kwitnącą ofiarę u niegodnych zupełnie stóp, ale

droga, którą obiera, by się upodobnić Bogu, jest tą królewską drogą miłości pełną zawodów i cierpień. Kto wiele kocha, temu wiele będzie przebaczone, kto wielce cierpi, ten wielce będzie oczyszczony...

I gdy ma wybić ostatnia godzina doktora Fausta, gdy wysączył do dna kielich, który mu był dany na życie i miał się stać on, którego celem było używanie, pastwą władcy tego właśnie systemu, ona, przez swe bóle i łzy oczyszczona, uświęcona może nawet, podaje mu rękę i z nad przepaści go wyciąga...

Faust Goethego do podobieństwa Boga nie dochodzi. Jest on potwierdzeniem wiernego mefistowskiego kłamstwa.

Ale Małgorzata w walce życia znalazła do Boga, jako Pierwowzoru, drogę najkrótszą, tę drogę tajemną, która jedynie do celu prowadzi, na znalezieniu której nam wszystkim zależy, a szczególnie tym, co obdarzeni są młodą duszą i gorącem sercem.

Twój przyjaciel
Autor.

BAJKA
O SERDECZNEJ NITECZCE.

Chcecie, bym wam na początek opowiedział ładną a prawdziwą bajeczkę?

Posłuchajcie....

* * *

Przędzie Najświętsza Panienka, przędzie na złotym kołowrotku, co stoi podle gwiaździstego Jej tronu przy księżycowym Jej podnóżku, przędzie niteczkę białą, niepokalaną, serdeczną.

To naszej doli i losu najmniejszego stworzonka niteczka; przywiązana jest do niej jakaś potęga nieziemska, czar nieba, moc święta. Przędzie i obdarza ją duszą, co czuje, sercem, co kocha....

O, daleko się ciągną te niteczki, do ziemi, do ludzi, tak, daleko!...

* * *

Pajęczyny babiego lata, białe, niepokalane, serdeczne unosi wiatr, a powiew jego kołysze

je w powietrzu. A koniki polne wśród nich, a skowroneczki nad niemi kołysanki im nucą śliczne, a gdy wieczór zapadnie, patrzą przez nie do gwiazdek podobne oczęta świętego Janka robaczków i słowiczek śpiewa na krzaku, omotanym tą przędzą białą, niepokalaną, serdeczną; bo że babiego lata niteczki serduszka mają, to i malutkiej dziecinie wiadome...

O, z daleka przybywają te niteczki, z nieba, z lazuru, tak z daleka!...

* * *

Wrześniowym rankiem zaczepiła się jedna z tych niteczek w locie swym o szczyt wyniosłego drzewa i biała, niepokalana, serdeczna spływała po listowiu korony. Ukryty w liściach prządka pajączek, dojrzał ją i po niej szybko i zręcznie spuścił się na ziemię.

Tam na krzaczku tarniny prząść zaczął siateczkę swą, coraz większe zataczając kółka, coraz większe robiąc oczka.

I tak pajęczynka ta, co unosiła się jakby w powietrzu, nadzwyczaj mądrze została założona: jednym końcem dotykała cierni i liści, drugim trzymała się owej z góry niteczki. Ale dobrych

trzeba oczu, by ją dojrzeć, bo zda się, nie ma ona początku — lecz ginie gdzieś wysoko, wysoko gdzieś aż pod temi chmurkami, co bawią się na błękitnem niebie.

* * *

Dnie mijały szybko. Coraz bardziej było jesiennie, coraz bardziej ponuro, coraz zimniej. Więc kryły się i marły brzęczące, różnobarwne muszki i rzadko która złapała się w pajęczą siateczkę naszego szarego pajączka, który główką kiwał i nóżkami przebierał.

Znudziło mu się to wreszcie i postanowił rozszerzyć swe panowanie. Dzięki niteczce z góry mógł rozpiąć swą przędzę na krzaczku całym, który wyglądał wnet w promieniach rannego słonka jak okryty białą, niepokalaną, serdeczną gazą, przetykaną gęsto istnymi jakby brylancikami. Dumną była nasza prządka ze swej roboty. Nie było to już to małe, mizerne, ubożuchne stworzonko, co ongiś spuszczało się po białej, niepokalanej, serdecznej niteczce babiego lata, by prząść przędzą swą i pędzić swe życie, o już niem nie było! Zrobił się z niego najpotężniejszy pająk z całej okolicy, na którego patrzał z zazdrością

cały ród pajęczy. Podziwiano jego robotę, szczęście i powodzenie we wszystkiem. Próbowano mu szkodzić, całą pracę zniszczyć, ale niteczka z góry, której nie widziały, której istnienia, działania i ważności nie znały i nie przeczuwały inne prządki pajączki udaremniała wszelkie złośliwe i wrogie napaście.

Aż pewnego razu szron pierwszy pokrył ziemię, opadł cieniuchną warstwą na listki, zważył kwiatki i trawki. Najśmielsza nawet muszka nie byłaby się w taki dzień bez ciepła i słonka odważyła na opuszczenie zacisznego swego pod piecem kącika.

Nasz pająk był wściekły. Nie dość, że zimno i mokro, jeszcze ma mu na muszkach zabraknąć!

Zły i rozdrażniony nie mało, obchodził państewko swe. Ale wszędzie zastawał porządek, wszystkie oczka wiązały się doskonale, trzymały się wyśmienicie. Nagle aż podskoczył. Dojrzał na górnej krawędzi pajęczej siateczki swej jakąś białą, niepokalaną, serdeczną niteczkę, której zdało mu się, że nie zna, że jej nigdy dotychczas nie widział. Tak jest, to jakaś nitka obca, niewygodna, a może i niebezpieczna, wroga? Wszystkie inne

niteczki zaczepione były to o ciernie tarniny, to źdźiebełka trawnika, wszak pajączek znał je wszystkie — ale ta oto nie łączyła się z niczem w całej tej tak sztucznej, złożonej budowie, ot, była jeno z powietrza; tak, jakaś tam sobie nić z góry.

»Precz z tą nicią zbyteczną, głupią!«

Słowo się rzekło, ha! Jednym zamachem przeciął ową białą, niepokalaną, serdeczną babego lata niteczkę, to niebiańskie swego losu i istnienia przędziwo, przeciął na dwoje. — I już się cieszył swym tryumfem, swą zręcznością i mądrością! Ale, co to takiego?

W tej samej chwili cała siateczka, cała zwyślna i mozolna pajęczynka opadła, zwisła, niteczki się poplątały, oczka rozerwały. Biedny pająk spadł na ziemię na jakąś trawkę uschłą i wielkiemi oczami patrzał na tę ruinę, na swój nadek. I zemdlał ze strachu i smutku. A gdy przyszedł do siebie, ze ściśniętem serduszkiem spoglądał długo na szczątki pięknego królestwa swego, gdzie tak dobrze mu było, gdzie się pracowało i żyło, opływając we wszystko.

* * *

O stworzonko małe! O istoto ziemska, słaby prządko-pajączku! Nie było ci zapominać tego dnia wrześniowego, pełnego słonka i płaczących dumek o niteczce babiego lata, białej, niepokalanej, serdecznej niteczce z motka Bożej Mateńki, co przędzie w niebie na złotym kołowrotku, stojącym podle gwieździstego Jej Tronu, przy księżycowym Jej podnóżku, ludzkie dole i ludzkie nadzieje, szarą przędzę istnienia wszelakiego stworzenia przędzie — tego dnia, w którym spuściłeś się na ziemię, między ciernie i chwasty, by zakładać królestwo swe!...

Oj, nie było ci zapominać, jak użytecznym był ci ten włosek delikatny, jak niezbędny, gdyś prządł niteczkę swą pajęczą, gdyś ją powiększał, poprawiał i wzmacniał! Oj, było ci szanować ją i strzedz jej i doglądać pilnie, zazdrośnie, tej najcenniejszej cząsteczki twego dzieła, podstawy twego bytu! Oj, było ci, było, biedactwo ty moje kochane, nieszczęsne!...

A teraz stworzonko małe, istoto ziemska, słaby prządko-pajączku — ukorzywszy się i skruszywszy w sobie — idź po ziemi długiej i szerokiej, idź ścieżkami obcemi, tułaczemi i szukaj... — ufnem, czystem sercem, w górę

wpatrzonem okiem szukaj białej, niepokalanej serdecznej niteczki, która dla ciebie, dziecino droga, opuściła gwieździste, malowane niebo, złoty kołowrotek i miłosierne błogosławiące, święte rączki najbielszej, najbardziej niepokalanej, najserdeczniejszej twej Mateńki przędzącej — przędzącej — — — — — — — — —

JARZMO SŁOŃCA.

Dziwne w tem lecie panowało między roślinami ożywienie. Wprawdzie one mówić nie mogą, posiedzeń nie mają, uchwał powziąć nie umieją. A jednak było wielkie wśród nich poruszenie.

Zobaczymy, co to takiego.

Kiedy się wyjdzie w cichą noc letnią i stanie na polu lub łące, lub zapuści w głąb lasu, gdy wiatru niema i wszystko spoczywać się zdaje, można wtedy usłyszeć cichutkie jakieś szmery, co idą, zda się, od ziemi, unoszą się nad drzewami, rozlegają się wokoło nas podobne do szelestu, do szeptu. To rozmawiają rośliny.

Tak tedy szmery te, prawie niedosłyszalne, rozchodzą się w nocy od nieboskłonu do nieboskłonu, a w drugą noc nadlatuje odpowiedź i w ten sposób, w niezrozumiałej, cudownej mowie, której nie zrozumie i najbieglejszy bo-

tanik, zapadają uchwały ważne a nawet, i to tuż przy nas, bywają knowane najstraszniejsze spiski.

* * *

Co tym razem stanowiło treść rozmów i narad roślinnych było czemś tak niezwykłem, że od dni stworzenia nikomu to na myśl nie przyszło. Rozłożysty, wyniosły grab, dumny i silny, był twórcą tego pomysłu. Stanowisko miał wyborne: stał wśród rozległego łanu zbożowego i każde jego słowo przechodziło od kłosa do kłosa. I tak rozchodziło się po świecie.

Grab przemawiał w te słowa:

»Bracia i siostry moje!

Od niepamiętnych czasów czcigodny rodzaj roślinny zajmował całą ziemię. Do nas ona należy, wszystko, co prócz nas żyje, przyszło po nas, a myśmy ją sobie zdobyli podbojem. Zwierzęta, ludzie — wszystko od nas zawisło. Bez nas niema życia. Wszak to my karmimy krowy, które mlekiem i mięsem swem posilają ludzi, my i owcy, odziewającej człowieka, i koniowi, co dla niego pracuje, za pokarm służymy; ptaki żyją z naszych nasion, owady ze soków i miodu naszych kwiatów, ślimaki nawet i wszystko, co

pełza po ziemi u nas szuka pożywienia. My jesteśmy osią wszystkiego, co żyje. Nie mówię więc za wiele, gdy twierdzę, że my rządzimy światem i że wszystko się koło nas obraca. A czemże jest sama ziemia, jeżeli nie podłożem, utworzonem z liści naszych, gałęzi naszych i pni, co się pokładły na spoczynek wieczny? Jasnem jest tedy, że nasze życie z nas samych czerpiemy, odradzamy się sami ze siebie. Mamy też w ręku wiązankę wszelkich nici, która się zowie: mocą.

Jest jednak jedna na świecie potęga, która od nas nie jest zawisłą, a od której my zależymy. Nie myślcie, że oznaczam tem powietrze gdyż i na nie działamy potężnie i skutecznie.

Mam na myśli słońce!

Tak jest, tę kulę ognistą, która jest na to, by darzyć światłem i ciepłem, a od której, jak utrzymują, nasze istnienie jest zawisłe.

Bracia i siostry moje! Nie bez celu użyłem tu słów: jak utrzymują. Bo ja innego jestem zdania. Czyż światło słońca darzy nas dobrodziejstwem, jak mówią, czy też jest ono może nam szkodliwem, jeżeli nie bezużytecznem? Jak myślicie! Co do mnie, to sądzę, że tak powszechne zdanie: słońce jest koniecznem błogo-

sławieństwem dla roślin, jest przestarzałym, oklepanym komunałem, a do tego niegodnym rośliny uświadomionej, nowoczesnej, idącej z duchem czasu«.

Tu przystanął.

Stare dęby i lipy sąsiedniego lasu zaszumiały niezadowolone, twierdząc, że nie wolno bezkarnie zmieniać świętego porządku wszechrzeczy, ale łan zbożowy przytakiwał z zapałem. Więc dalej prawił grab:

»Wiem doskonale, że w świecie naszym znajduje się stronnictwo ultrakonserwatystów, że ich dążeniem utrzymanie stanu rzeczy niezmiennego i wyszłego z mody. Ale buduję na zdrowym poglądzie młodego pokolenia i sądzę, że ono przynajmniej nie zechce wspierać się na przegniłych zapatrywaniach, opierać swego zdania na szalonem przypuszczeniu. Wszak my, rośliny, mamy wystarczyć sobie samym. My nie chcemy zdrowej głowy kłaść pod ewangelie, giąć mężnego karku pod żadne jarzmo, choćby i jarzmo słońca. Precz z tem poddaństwem, tą niewolniczością! Nowe, piękniejsze, mędrsze powstanie pokolenie jak Fenix z własnych popiołów, które zadziwi światy. Twój czas już

upłynął, władza twa chyli się do upadku, tyś się przeżyła, stara kulo, co świecisz urągliwie z góry!«

Tu rozległy się potakiwania, hałaśliwe okrzyki i oklaski. W chórze roznamiętnionych kłosów i burzanów, żywopłotów i krzaków nikt nie dosłyszał protestu starodrzewia.

Gdy nastało milczenie, kończył grab swą mowę:

»Odtąd hasłem naszem to, co ludzie nazywają: strejk. W dzień wstrzymujemy się od wszelkiej służby, pracy i czynności, prócz tego tylko, co koniecznem jest do utrzymania się przy życiu. Natomiast w nocy żyjemy w tempie zdwojonem, szeroko i bujnie. Uwolnieni od jarzma, oddamy się tej nocy, z której wszystko wyszło i do której wszystko w nas i przez nas wrócić powinno.

Wtedy rość będziem, kwitnąc piękniej jeszcze niż dotąd w dzień; dla uczczenia nocy będziemy otwierać nasze skarby w woniach; a nocą dojrzewające owoce i nasiona staną się podłożem nowych, nocnych owoców naszego roślinnego rodzaju. To będzie jedynie godne nas życie!«

Skończył. Poszept potwierdzający rozległ się naokół, ale coś mi się zdaje, że jakiś mniej porywczy, mniej żywy, niż pierwszym razem.

* * *

Ludzie dziwne widzieli zjawiska w tym roku. Za dnia, kiedy słońce przygrzewało i śmiało się do świata, kwiaty były zamknięte, jakby chore lub śpiące. Nigdzie śladu corocznego bogactwa barw, różnorodności woni. Ogrodnicy łamali ręce, botanicy zachodzili w głowy. Ale że nikomu nie przyszło na myśl badać świat roślinny po nocach, nie mogli tedy widzieć, jak przy mdłem świetle księżyca i migających gwiazd otwierały się kielichy kwiatów, odwijały się liście. Niestety, wnet smutne pokazały się dla strejkujących skutki!

Zboża, których kłosy nie mogły żółknieć od słońca, zwijały się i gięły niedojrzałe, aż całkiem przypadły do ziemi. Owady nie zapylały kwiatów, soki i miody nie tworzyły się w obumierającem królestwie. W krótkim czasie zaczęły pożółkłe liście pokrywać ziemię i z lata zrobił się istny listopad.

Szemrać poczęto coraz natarczywiej na graba, który wszystkie rośliny omamił i oszukał. Ale

on stał wspaniały w złocistej swej szacie i wołał tylko od czasu do czasu:

»Jakeście małego ducha, bracia i siostry moje! Czyż nie jesteście stokroć piękniejsze, ozdobniejsze, bogatsze? A co najważniejsze, czy nie jesteście teraz bardziej sobą samemi, niż ongiś pod tyranią tego tam słońca? Wtedy wszystkieście tkwiły jak w uniformach jakich, w strojach istnych więźniów. A jakeście były mieszczańskie, że nie powiem schłopiałe! A teraz o ileście delikatniejsze, wytworniejsze, istne arystokratki materyi i ducha!«

I znów uwierzyły weń odurzone, schorowane rośliny. I do ostatniego listka, który opadał, do ostatniej gałązki, która konała, do zaginięcia ostatniej kropli życiodajnego soku powtarzały coraz ciszej, coraz słabiej:

»My wytworne, my arystokratki ducha.....!«

W dziennikach, których rośliny nie czytają, rozpisywali się ludzie o jakiejś niebywałej, strasznej zarazie wśród roślin, o braku jakichkolwiek zbiorów i żniw, który może i długotrwałością groził. Ale dobrze myślący ludzie przekonali wszystkich, że to szał uleczalny, choro-

bliwy, przejściowy jeno stan, że nastaną wnet lepsze czasy. Tak się też i stało.

Gdy wtóra nadeszła wiosna, wszędzie obudziło się zwykłe normalne życie roślinnego świata. Młode i świeże łany zbóż zieleniały u stóp samotnego, obumarłego graba, który nie mógł już słyszeć radosnego, spokojnego hymnu do słońca kwiatów stubarwnych i wielowonnych, drzew pełnych krasy, owoców pełnych siły twórczej, zjednoczonych z tem, co kochały i czciły, nie niewolniczo, ale ufnie i po dziecięcemu z miłosiernem, dobrotliwem i błogosławiącem Słońcem.

TRUCICIEL.

Mrok zapadał w laboratoryum alchemika, ostatnie promienie słońca kładły się na ogromnych foliałach, leżących na pulpitach, głaskały zdobione od ręki karty rękopisów, rozłożonych po stołach i stołkach, zapalały ognie stubarwne w alembikach i tyglach, w rzędach waz i słoi, stojących na półkach, a zawierających różnokolorowe proszki i płyny. Na ognisku pod kociołkiem dziwacznego kształtu płonął niebieskawy ogień, a koło komina krzątał się alchemik.

Był to starzec łysy i kościsty, odziany w rodzaj powłóczystej togi z biretem na głowie. Prócz tego miał na twarzy szklaną maskę, by nie wdychiwać zabójczych wyziewów, wydobywających się z kociołka.

Gdy się tak słońce kryło za wieże i dachy miasta, a niebo czerwieniło jakby ogniem objęte, rozległy się z wielu naraz stron to razem to

pojedyńczo dzwony: »Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi....«

Alchemik zagasił ogień i otworzył szybkę w jednem z dużych, gotyckich okien.

Wielka, sklepiona izba, mroczna już dobrze, zapełniła się srebrną i tęskną, silną a przejmującą melodyą dzwonów, jakby i ją całą wraz z jej właścicielem i jego uśmiercającemi przetworami chciała objąć czarem swej błagalnej, modlitewnej nuty. I cicho zrobiło się w tym zakątku trutek: ogień przycichł, zagasł, para bulgotająca wywarów i elixirów wrzeć przestała, jakiś przelękły puchacz schował się głęboko za piec.

Alchemik, oparty o kratę okna mruczał coś półgłosem do siebie.

»Oni go spalili... tam, pod tą wieżą, przed katedrą swą... Dni temu kilka, o tej samej godzinie... dzwony biły... nieczułe, zimne — te bose, czarne mnichy... lud się śmiał — wył w wściekłej radości — zajadłość psychologiczna mas!

O, mistrzu mój wielki! Zródło prawdziwej wiedzy! Jakiś ty był dobry, jak szlachetny! Takiego nie szukać po ich konfesyonałach i am-

bonach. Nawet muszce źle nie życzyłeś, nie umiałeś źle życzyć! —

Spalili go... uśmiercili... jak czarnoksiężnika... magika... A to mędrzec był cichy, w całem tego słowa znaczeniu... Nic nie istniało dla niego prócz ksiąg i tygli... Centa nie wziął od nikogo...«

Przysunął sobie wysokie, skórzane krzesło i patrząc w zagasłe ognisko — myślał dalej półgłosem.

»...Czyż nie wolno wytwarzać trucizny? Wszak to nauka i sztuka — jak inne nauki i sztuki. Sprzedaję swe wytwory, jak inni sprzedają to, co wytworzyli — sumiennie, wedle wartości — mój zarobek nie wielki, słuszny. I możeż to nazywać się bezprawnem — być karygodnem? Słyszałem, że wielu ludzi ginie w okolicy... mnie obwiniają... to niesłuszne! To czysta napaść! To podejrzenie szatańskie! Czyż ja się pytam, po co kto truciznę kupuje, na co mu ten lub ów z mych elixirów i ta właśnie pigułka potrzebne? Ja od tego ręce umywam! Ja tyle się tem troszczę, co... co cukiernik, sprzedający ciastka lub czekolady swe. A czy rusznikarze nie sprzedają rzeczy strasznych, naprawdę

śmiertelnych? Na co strzelby i pistolety, te straszne bronie palne? A płatnerze? Czy nie handlują nożami i szablami? Chyba nie dla zabawki broń kupują, lub by iść z nią do tańca lub ślubu? A nie wszyscy dziś niestety wojują z duchami, bo oświeceni, bo uświadomieni! Co do mnie, to nikomu przez drogę nie położę słomki, by cieszyć się upadkiem jego, a może jeszcze wykorzystać? Życie moje jest życiem cichego, pobożnego mnicha. Oddaję cesarzowi, co cesarskiego, jałmużnę rozdzielam wszystkim, co do mnie zapukają. Nie mam w domu mym wybryków, nic się nie dzieje niezwykłego... Każdemu chyba wolno być tem, czem chce — gdy nie szkodzi bliźnim swym... przeciwnie, pomaga. Jedni potrzebują chleba, drudzy trucizny. Taki już porządek świata. Chlebem karmią się ludzie, by utrzymać życie swe, trucizną się karmią, by przejść do nirwany. — Ja tego nie zmienię, to porządek społeczny i prawo ludzkości tak stare — a porządek i prawo rządzą światem, utrzymują równowagę w ludzkości. Cóż ja w tem jestem? Atomem cichej, mrówczej pracy...«

I długo tak rozmyślał stary, zasuszony alchemik. Noc była zapadła zupełnie.

Zapalił wysoką swą oliwną lampę i przy jej migotliwem świetle zagłębił się w umarłą wiedzę przeszłych pokoleń i wieków — sam mamut, twór przedpotopowy, cudem jakimś zachowany, wegetujący i zabijający wiedzą swą z poczucia obowiązku i uszanowania dla pragnień ludzkich, spokojny w sumieniu czarnoksiężnik-truciciel.

I ułożył się potem do snu, a w nocy zbudził się z obawy, że przyszedł kat, aby go pojmać. A jednak sumienie jego nawet w najtwardszym śnie nie pokazało mu ciał tych, których zabiła trucizna jego.

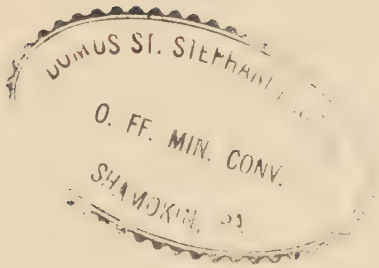

ZIARNKO PSZENICY.

Jesień. Szary i zimny dzionek. Złociste liście dziwnie melancholijnym szelestem fruwają w powietrzu, kładą się na nagiej, czarnej ziemi. W żywopłotach świecą krwawo głogi, dzikie wino mieni się barwami tęczy. Mgła podnosi się powoli, ociężale, zostawiając po sobie całe sznury pereł lśniących, wilgotnych.

Na błotnistej, pełnej dziur i wyboi drodze, wijącej się przez pola, to wóz zaskrzypi chłopski z wywróconym do góry spracowanym lemieszem, chłop zziębnięty klepie ramiona i zaciera ręce — to jakaś skulona przemknie raźno postać z czapką, zaciśniętą na uszy, z westchnieniem smutnem, co zda się zamrze wnet w piersiach i oku. I była w naturze jakaś tęsknica wszechrzeczy; nie ten smutek sztuczny, w którym lubują się ludzie, poetami zwani, którzy go w słodko dźwięczące ubrawszy rymy, potem dzwonią po kieszeniach złotówkami, bardziej

słodko dla nich dźwięczącemi — ale ten głęboki, smutny czar rzeczy przemijających i jakby czujących swą słabość, swe ubezwładnienie.

* * *

W taki to dzień wyszedł człowiek, by siać na polu swem. Stąpał wolno, gdyż ciężki wór miał przywieszony u boku, a ręka, ta, którą go matka znaku krzyża uczyła, a ojciec pracy zbożnej, sypała ku ziemi krągłe, złote ziarna.

Zagon jego był wązki, jak wszystkie chłopskie łany, czarny i długiemi znaczony bruzdami, które biegły równiutko, zgodna sąsiadka przy zgodnej sąsiadce. Zdało się siejącemu, że zagonik ten jakoby się zwężał ku przeciwległemu końcu i kończył prawie że klinem. Ale on przywykł do tego, bo i dola niejednego z ludzi jest takim klinem, ostrym klinem.

Więc szedł aż do tego końca, który węższym od reszty pola być mu się zdawał, a przecież takim nie był, ale jak się odwrócił, zdało mu się, że to tamten koniec, od którego uszedł, taki dziwnie wązki. Więc szedł z powrotem. I nie raz, nie dwa, ale dziesięć, ale wielekroć razy wracał się tam i sam: a tu klin wciąż się

rozszerzał, a tam pole wciąż się zwężało. Zdało się, że szuka tego kąta tajemniczego i że go znaleźć nie może.

Ilu to ludzi w ten sposób spędza swe życie! Szukają to, co światami od nich leży a znalazłszy je, wstecz się oglądają, a widząc w oddali to, co porzucili, wracają do tego, gdyż to ich przyciąga jakąś iście magnetyczną siłą. I życie przechodzi i uchodzi im na tej wędrówce w jedną i drugą stronę... bezpowrotnie schodzi... I nigdzie nie docierają w rezultacie, nigdzie nie rozbijają ze świętym pożytkiem dla siebie i dla drugich namiotów swych, nie zaznają żadnego spoczynku, żadnego pokoju... I ostatnia godzina zastaje ich znękanych i zbolałych, na tej nużącej, bezowocnej włóczędze, Ahaswerowej jakby za jakieś winy pogoni. — — —

Ale siewca nie był do tych ludzi podobnym.

On szedł stale, celowo, raz koło razu, brał bruzdę po bruździe swej posiadłości z równą pieczą i miłością bacząc, by wszędzie ziarno jego padło, i siał dobre, pełne drzemiących karmnych potęg bujnego życia i błogosławieństwa Bożego ziarno i szedł raz koło razu — — —

* * *

I tak ziarnko znalazło się samo, samotne, wciśnięte między dwie grudki czarnej wilgotnej ziemi. Serce mu się ścisnęło z trwogi i żalu. Nad wieczorem deszcz się puścił drobny ale wytrwały, ziemia się rozmokła i ziarno jeszcze niżej się zapadło. Nigdzie i nigdy jeszcze tak ciemno mu nie było i tak mokro, tak nieswojo! I zdało mu się, że to chyba koniec, że kostusia nadchodzi.

Ginąć i tak marnie ginąć bez słońca i powietrza, które ziarnko znało z czasów, gdy niem wiatry w kolebce huśtały, zawieszonem w wolnem, szerokiem przestworzu między niebem i ziemią, zejść tak bez kwiatków i ptaszków, tego wszystkiego, co ukochało było za dni dzieciństwa swego....

I zadumało się, zapłakało zbożowe ziarnko nad kłosistym domem swym, co droższym, piękniejszym mu był nad świata całego pałace i skarby... i nad źdźblistą, serdeczną rodziną swą, której członków miłych rozniesiono pewnie po nieznanych mu miejscach... I zadumało się ziarnko nad dzieciństwem swem i zaniosło się od wielkiego, od szczerego po niem żalu: nieskończony, zda się, łan, a wszędzie kłosy, a wszędzie źdźbła...

wysokie, zielonozłote, pokrewne... jak się chylą giętko — jak podnoszą strzelisto... a jak w górę spojrzy... tam błękit, jak jakaś czara szafirowa, brzegami na marmurach gór i szmaragdach lasów wsparta... tam złociste bożyszcze, słonko promieniste, uśmiechnięte, tak dobre, że i porównania dlań nie ma... tam skowronki szybują i śpiew ich leci serdeczny a tak dzwoni... tak dzwoni..... Zapadał wieczór: na niebios lazurowym płaszczu zasrebrzał miesiączek... taki cichy, łagodny pasterz owieczek, pędzących po niebie i pasących się na gwieździstej trawie śpiącej natury i ziarnka, drzemiącego w swych osłonkach, stróż... wtedy rosa opadała odświeżająca, a bezpieczne przepiórki otrząsały z niej we śnie skrzydełka...

Gdzieżeście, o gdzieżeście, zbożne czasy, jak ten chlebuś powszedni takie dobre, tak do siebie przywiązujące młodą, jasną duszę zbożowego ziarnka!! Teraz... przed tą ostatnią, co przyjdzie, co już nadchodzi godziną wspomnienia snuje — wspomnienia..... Czas wojny! Przyszedł dzień straszny... zadzwoniła kosa zimna, lśniąca i z gwizdem i poświstem co wciąż w uszach dzwoni, ścieżkę sobie toruje

wśród gęstego lasu kłosów... potem przyszły grabie... związano kłosy, jak bezbronnych niewolników... i na wozach z pieśnią tryumfu i okrzykami powieziono, zapędzono w jasyr... a pobojowisko zostało puste... tylko leżą powalone gdzieniegdzie kłosy, sterczą bodziaki i osty, chwieją się maki i kąkole... Ale i tam było dobrze... tylu braci, tyle sióstr razem... nawet i obcy, z dalekich może krain... żyta... owsa... jęczmiona... Aż i tu przyszło, o straszne rozstanie, bolesne pożegnanie... cep dzieli źdźblistą rodzinę i ziarna sypią się, sypią... i nie zobaczą się już nigdy, o, przenigdy..... Ale za to w worku siewcy ciekawe się słyszy jeszcze raz... ostatni raz w życiu... nowiny... każdy o sobie opowiada... a wspólną dolę jakoś lepiej się znosi — o, tak wspólną... hej! hej!

Nie mogło dalej myśleć, coś z niem się działo strasznego... tak, to bez wątpienia koniec... całe pęcznieje — rozkłada się... przesiąka całe wilgocią ziemi.....

Więc zebrało ostatki sił i woła w rozpaczy:

»Po co mi było przychodzić na świat — rodzić się w takiem szczęściu — gdy taki mój zgon? Po co? — ach, po co?!«

Co... to? Jakiś głos... serdeczny głos, co zda się od wnętrza pochodzi — jakby w niem był, lub tuż koło niego — ale równocześnie cudownym jakimś sposobem nie był niem, a miał prawo rządzić niem i rozporządzać, jak własnością swą — głos, co unicestwia, w proch ściera a równocześnie napełnia ufnością bez granic i miłością dobrą: »Zaufaj mi! Służ wiernie mej woli do końca, wytrwaj na drodze twego przeznaczenia, a ono zaprowadzi cię do chwały. Bom Ja jest, który cię stworzył i mam nad tobą pieczę i w sercu Mem chowam.«

I ziarnko łzy osuszyło i w ręce Tego, co tak przemawiał, złożyło przed zgonem serce swe, bo czuło, że Jego jest własnością a czyste miało sumienie i poczciwość...

* * *

Wiosna. Słońce się śmieje, jego dobroczynne promienie kładą się na młodą, jaśniejącą krasą i weselem ziemię. Ona cała się odradza, przystraja. Drzewa pękają, kwiaty kwitną, ptaki fruwają i nucą na wyskoki, a ludzie patrząc radosnem dookoła okiem, mówią sobie:

»Wiosna idzie, wiosenka!« Wszystko, co żyje, śpiewa hymn, wielki i uświęcający hymn odrodzenia.

A ziarnko nasze? To już nie ziarnko okrągłe, złote, o, nie! Patrzcie! Tam, ot, tam, na zieleniejącej runi, między braćmi swymi i siostrami, ten kłosek tak świeży i zdrowy, tak miły i tak radosny... To ono, znajome nam ziarnko, ziarnko tego siewcy, co siał ziarno dobre i szedł po niwie swej, raz koło razu — od końca do końca...

A głos się rozlegał tym razem nie jakby od wnętrza, ale jakby brzmiał zewsząd, i z góry i z dołu i ze wszystkich stron, jakby był w świecie a nie był światem, i miał prawo rządzić nim i rozporządzać, jak własnością swą... głos, co unicestwia, w proch ściera a równocześnie napełnia zaufaniem bez granic i miłością dobrą:

»Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeżeli ziarno pszeniczne zesłane na ziemię, a nie stworzone, by zostało i było dla ziemi, nie wejdzie w siebie i nie umrze w sobie — nie wyda owocu w czasie swoim i żyć nie będzie. A jeżeli wejdzie i umrze — żyć będzie i przyniesie owoc stokrotny — bo Jam je umiłował przed wiekami i Ja je kocham.....«

CIEŃ.

Północ biła, gdy zadzwoniono u drzwi poety. Powstał i smutnym powiódłszy okiem po papierze, rozłożonym przed nim, po kwiatach mrących w weneckiej kryształowej czarze i kilku napoczętych flaszkach ciężkiego, purpurowego wina, stojących na biurku mahoniowem, wykładanem kością słoniową i perłową macicą — poszedł otworzyć.

Na mrocznych wschodach ganku stał młodzieniec, słuszny i szczupły, mnąc kapelusz o szerokich kryzach w rękach dużych i czerwonych od mrozu. Mimo nocy zimowej nie miał okrycia wierzchniego, a surducik o podniesionym kołnierzu wyszarzały był i wiatrem podszyty.

Wymówił nazwisko poety i pytał, czy z nim pomówić może. Poeta wejść mu kazał do swej pracowni, podał mu krzesło w pobliżu płonącego na kominie ognia i przysunął stolik z winem i przekąską. Sam zaś usiadł przy stole, przed

rozłożonym papierem i mrącymi kwiatami i czekał pierwszych słów późnego swego gościa.

Ale ten stał jeszcze i rozglądał się długo po obszernym, wygodnie urządzonym pokoju, po którym kładły się jasne plamy, od kominka idące i długie cienie, jakby ześrodkowane w miejscu, gdzie stał przygotowany dla młodzieńca fotel. Ten widocznie to zauważył i szepnął raczej do siebie:

»Miejsce dla cienia jest w pośrodku cieni...«

Potem siadłszy na kraju krzesła, westchnął i rzekł z odcieniem szczerego podziwu i wielkiego uszanowania w głosie:

»Przyszedłem do pana, bo chciałem pana jeszcze raz ujrzeć przed śmiercią.«

Poeta obrócił się całkiem do niego na swem angielskiem, biurowem krześle.

»Czy pan słaby?« zapytał.

»Zdrów jestem zupełnie« odparł młodzieniec, kręcąc kapelusz w rękach. »Ciało moje jest zdrowe. Ale dusza ustaje, nie ma sił żyć dalej. Idę w objęcia śmierci, ale chciałem pana przedtem widzieć. Dlatego, proszę mi wybaczyć, że o tej późnej porze...«

Poeta machnął ręką białą, wypielęgnowaną, jakby aksamitną, ale nie rzekł ani słowa. Patrzał w milczeniu na ów cień podle komina. Ciekawy był to człowiek, ten jego gość późny: było w nim coś z człowieka, coś z nieczłowieka zarazem, coś nieuchwytnego, rozwiewnego. Poetyczną swą duszą widział w nim poeta jakąś nieokreśloną, straszną, pożerającą i zabijającą poezyę. Ale mu się to może tylko zdawało. Młodzieniec mógł mieć lat dwadzieścia kilka, twarz miał bladą jak płótno i jakąś dziwnie zamgloną, rysy drobne i bardzo kształtne, włosy starannie uczesane, zarost kobiecy, prawie do puchu podobny. I oczy były niezwykłe. Duże, czarne, połyskiwały chwilami, jakby sypały iskry, to znów wydawały się jakby szklane, w głąb czegoś, czy też siebie zapatrzone. Głos jego był cichy i dźwięczny, ale poruszeń warg prawie, że widać nie było; wogóle ruchów nie używał wcale, czy mówił, czy milczał. Ale co najbardziej uderzyło poetę, to jakieś niewytłumaczone podobieństwo, jakie między nim samym a tym obcym mu zupełnie człowiekiem istniało, podobieństwo raczej duchowe niż fizyczne. I to zagadkowe podobieństwo przerażało

go niemile. Mimowoli przeszła mu przez myśl wizya własnej młodości — ale nie mógł w niej odkryć ani surduciny wyszarzałej, ani butów wykrzywionych, ani tych oczu czarnych, tajemniczych. Poruszył się na krześle, wychylił szybkim ruchem swój kieliszek do dna.

»Pan masz zapewnie do mnie niewiadomy mi jeszcze interes, proszę tedy.« I uczynił giest audyencyonalny.

Młodzieniec siedzący cały czas bez ruchu, bez żadnego nawet wyrazu w twarzy, zaczął mówić, a im dalej mówił, słowa jego były coraz bardziej tajemnicze, odurzające.

»Tak i nie... ze wszystkich ludzi na świecie miał pan największy na mnie wpływ. Czytałem wszystkie pańskie dzieła tak długo, aż się ich na pamięć nauczyłem. Odtąd żyłem w nich, z nich i z niemi. To jedynie było rzeczywistem, mojem istotnem życiem.«

»Nie wiem jeszcze kto pan...« — zaczął poeta jakoś dziwnie nieśmiało, bo czuł równocześnie całą czczość tego pytania, tak przecież zwykłego.

»Po co to? Nie jest to potrzebnem. Jestem bezimienny, jeden z wielu, z tych, tam.«

I wskazał ręką na okna, zasłonięte gęstemi, koronkowemi firankami.

— Znam pana doskonale, za dobrze nawet. Jeżeli dziś przychodzę, to li tylko dlatego, że pragnę, by pan był ostatnim człowiekiem, którego widzę, a ten salon ostatnim pokojem; dom pański stanie mi się przedsionkiem śmierci... Ale o sobie coś powiedzieć wypada... Może strawiłem moje lata za ladą sklepową, dodając całe kolumny cyfr śmiesznych i zimnych, sprzedając jakieś zapylone księgi, o które raz w miesiąc ktoś nieśmiało zapyta; — to nic nie znacząca proza — to wiedza i nauka. Zdaje mi się, żem nie sprzedawał nigdy tych jasnych, powiewnych niejako tomików, z których wieją czary zmieszane, wonie odurzające, szczebioty i szelesty jedwabiu... Tak przynajmniej sądzą i utrzymują ci, co tłumnie kupować je przychodzą. Może to być kiedyś... kto wie? A może co innego... Może chciałem ongiś tworzyć, wiersze pisać i błyszczeć jak pan?«

Umilkł jakby wsłuchany w jakieś dalekie melodye. Poeta nie przerywał, nie śmiał przerywać.

»Pamiętam, jak pierwszy raz ujrzałem pana. Było to w lecie, na prowincyi. Pan przybyłeś

tam w gościnę. Wszyscy o panu tylko mówili, wszyscy; wielcy i mali, ci, co coś wiedzą i ci, co nic wiedzieć nie mogą.

My młodzi byliśmy na czele. Myśmy, panie, cisnęli się do dzieł twoich jak do sztandarów i haseł naszych. Myśmy wierzyli w słowo — ono miało skrzydła. I myśmy dostrajali się do tych skrzydeł — bo to nas cieszyło. — Myśmy wierzyli w pieśń — ona miała woń i moc. Pomnę, przejeżdżał pan powozem w towarzystwie dwóch pań, o których mówiono, że są... ja na nie nie patrzał, nie widział ich, bom patrzał na pana z podziwem, ze czcią. Może pan mnie dojrzał, a może nie. Ale rzucił mi pan wtedy spojrzenie — jak — jak się rzuca grosz żebrakowi, lub słowo to łatwe, prędkie: »nic nie mam dla ciebie, innym razem...« Dziś wiem, że poetą nie byłem, nie będę, wtedy wyobrażałem sobie, że będę podobny do pana, bo czułem to, co pan wyraził na pergaminowym papierze w safianowej oprawie. I dusza moja była echem dźwięków harfy, którą pan....«

Przerwał, jakby znużony. Po chwili ciągnął dalej, a głos jego stał się silniejszy, prędszy.

»Pan! Pan nie wie, co pan czyni, gdy siedzi tu nad papierem przy kwiatach i ogniu,

a myśli płyną, płyną jak potok! Pan nie wie. ile to istnień ludzkich pan przerabia, zmienia, jednem pociągnięciem pióra przeinacza, kształtuje! Pan wiedzieć tego nie może, ile szczepów ludzkich pan przegiął, zważył, złamał, ile podciął życiodajnych korzeni, ile podpisał wyroków śmierci na tych białych, potulnych ćwiartkach... Ha, ha!i widzę je pod aureolą tych więdnących, mrących kwiatów.

Wszak my żyjemy tem, co wy, poeci, piszecie... urabiamy się wedle pojęć waszych, które nie na papier przelewacie, ale na dusze nasze. Młodość nasza żyje duchem waszych myśli i tworów waszych, młodzież nasza to młodzież waszych dzieł! Oddaje się zgorszeniu, gdy wy ją tam wtrącacie, gdzie rozkosz i rozpusta święci orgie swe pod rozmaitemi maskami, które wy im nałożyliście; jest czysta i dobra, gdy wy ją taką mieć chcecie — i taki jej podstawiacie piedestał. My młodzi, wierzymy, w co wy wierzycie, nienawidzimy, co wy nienawidzicie; tworzący się młodzieńcy są bohaterami lub nikczemnikami na nutę waszą, tworzące się kobiety małżonkami lub nałożnicami na skinienie wasze.

Wielu rzeczy nauczyliśmy się od was, panowie poeci. Stać się człowiekiem w pełnem tego

słowa znaczeniu stało się hasłem naszem: więc prosto i odważnie, bez prawa i prawdy! Rozpić się winem, upić miłością, oddać się z uśmiechem grze szczęścia i losu — to było godłem naszem, wedle godeł waszych, sławioną pełnię istnienia, tryumfem zczłowieczenia!... Znaną jest zapewne panu legenda owego kobziarza z Hameln, który czarował szczury grą swoją... Tak, takeście szli przed nami, szarym tłumem, a dźwięki teorbanów waszych kazały nam, dusze wolne motając i więżąc, opuszczać domy ojców, ogniska mieszczan... szliśmy za wami, za cudnymi tonami, jak senni, jak omdlali... szliśmy nad przepaść... tam stanęliście i zatrzymali się, boście zawsze byli sobą... ale my, którzyśmy zatracili świadomość siebie, nie wiedzieliśmy już, gdzie droga, a gdzie bezdroże; my, cośmy nie mieli własnego już czucia i woli... lecieliśmy naprzód, lecieliśmy — aż na dno... I to jednośmy jeszcze widzieli, jakeście się uśmiechali wielcy czarodzieje! O, gdybyście wiedzieli, ile to przez was cieni snuje się po świecie, ilu włóczęgów ciemnych, przewrotnych myśli błąka się i zatacza po kraju! Ale wy nie wiecie i dobrze wam z tem — a może wiedzieć nie chcecie??... Ja także po-

szedłem za złudnym, czarującym głosem waszym — do dziś wieczora, do tej nocy — szedłem jak ślepy, jak śpiący!

Byłem subjektem w księgarni. Lubiałem stawać za firanką okna, przeznaczonego wyłącznie poezyi... waszego okna, panowie poeci! Czego tam nie było! Światy całe, dusze całe pod osłoną papieru, czy płótna — skóry czy pergaminu!

Bawiło mnie to, czytać na twarzach i w oczach przechodniów wrażenia, jakie robią na nich te tytuły i nagłówki, motta i sentencye. Były tam i książki otwarte. Zda się istna wiwisekcya. Jeden czytał o kolebce i domu cichym, drugi o szpitalu i przytułku obłąkanych, inny o grobie i cmentarzu. Jednemu serce zabiło, drugiemu bić przestawało... Wtedy, panie, przeszedłeś koło mnie z lutnią swą cudowną, oszołamiającą. Jakaś potężna tęsknota opanowała me zmysły, wlała wrzącą krew i siarkę zapalną w żyły moje — jakieś stepy — na tle niebotycznych, poszarpanych złomów otwarły się przed oczami mej duszy. a wszędzie burza... jakby duchowe trzęsienie, rozpadanie się ziemi!

I wybiła moja godzina: porzuciłem sklep i pracę, zaparłem drzwi domu rodzinnego, a drogę

do Tego, Którego nazywają Bogiem, zasypałem kamieniami i gruzem... I roztrzaskała się łupinka łodzi mej... poszła w kawały... w drzazgi...«

»Panie! panie... co pan...« — krzyknął w tem miejscu poeta, drżący i przerażony słowami młodzieńca. Czuł instynktownie, że tu nie ma co robić, ale musiał przecież choćby dla dekorum, wezwać jakiejś potęgi, zakląć się na coś, co zahamuje, zniweczy działanie tych słów strasznych.

— »Pst, pst, pst... proszę nie używać żadnej próżnej powagi, nie drapować się w fałdy płaszcza, zdartego na tę chwilę z jakiejś mrocznej wielkości. To między nami zbyteczne. Jest poezya!! Tak. Jest, panie, poezya i poezya... i czy pan wie, co jeszcze jest: poezya! Ja, panie poeto, niczego nie żałuję. Jestem życiem poezyi, cieniem życia! Więc czy żałować warto? Późno już... zabrałem panu wiele drogiego czasu... Proszę mi darować — proszę. Wie pan teraz, kim jestem w stosunku do pana? Przyszedłem tu, po raz pierwszy i ostatni, jak dziecko nieprawe do tego, który jest ojcem jego, a którego ono nie może nazywać: tato... którego imienia nie nosi... jakieś bezimienne, strasznie szare — ale w sercu kocha. Napisano w pewnej książ-

ce, której pan zapewne nie zna, a której ja nie zgłębiałem, bo to księga świetlanych: »Mistrzu, wszystkośmy porzucili dla ciebie, by iść za tobą, co nam dasz w zamian?« Te słowa zaprowadziły mnie pod drzwi pańskie... Wszystkośmy już porzucili, by iść za tobą, panie, i nic nam się nie ostało... Nie mamy już podeszew u obuwia naszego, a błoto tysiąca dróg wżarło się warstwami nie do zmycia w obnażone, pokaleczone stopy nasze... Nie mam grosza nawet na szklankę kawy, znękany jestem sobą samym, osłabiony głodem i chłodem, pijaństwem i rozpustą... matka moja o białych jak srebro włosach wodę nosi i podłogi szoruje, by z głodu nie paść pod tym gmachem, który ludzie niektórzy za najdroższy mają relikwiarz — pod kościołem... By kupić sobie uściski i ciało sprzedajnej dziewczyny, kłamałem i kradłem, a czoło moje było pogodne... sprawiedliwość ludzka miała mnie nieraz w szponach swych, ale jam się stawał jak padalec, jak żmija... zamiast imienia mam numer na policyi — zamiast pieniędzy dziury w kieszeniach — a zamiast ideałów mam pył w sercu, zgniliznę w mózgu i wyobraźni... w duszy mej wicher złowrogi a czarujący pustynię uczynił zupełną... w niej był

ongiś Ktoś... dziś nie wiem nawet, jak się nazywa... i do czego też?... Do czego?!...

»To mi zostało, jedyne, ostatnie dobro!« I nagłym ruchem, który wskutek jego dotychczasowej apatyi i nieruchomości podziałał jak prąd elektryczny, jak uderzenie gromu — wydobył z za rozpiętego na piersiach surduta mały, czarny rewolwer.

»Niech pan się nie boi... ha, ha... niech pan siada, panie! Poeta się nie wzrusza — przecież ten, co wszystko może mocą pióra swego, niczem się nie wzrusza.....

Chce mnie pan odprowadzić? Zaraz wyjdę, zaraz... Są dwa rodzaje ludzi. Jedni piszą wiersze, drudzy żyją wierszami. Koniec tamtych — pan go zna chyba lepiej odemnie — a tych — ja go lepiej znam od pana — to wystrzał, smuga dymu... i trup!! I to nawet nie — bo my już nie ludzie ale cienie — ale nic! Ha, ha, ha, ha, ha! Mistrzu! Wszystkośmy porzucili dla ciebie, by iść za tobą, co nam dasz w zamian?« — I zanosił się od śmiechu strasznego, co mrozi szpik w kościach, co ducha szarpie na kawały..... Podszedł do okna, zerwał firankę, odemknął. Noc była ciemna, głucha. Tylko drzewa szumiały poważnie, żałobnie.

Tragedya weszła do tego pokoju — i to okno nie na to się otwarło, by ją zmienić na idyllę, na farsę... nie na to.

Młodzieniec oparł się plecami o palisandrową framugę, w ręku ściskał mały, czarny rewolwer.

Poeta zapadł się w poręczowem swem krześle, zęby mu dzwoniły, głowa trzaskała, ręce i nogi drżały, serce zdawało mu się bić wysoko, gdzieś tuż pod krtanią, suchą i dziwnie wąską. Czy słyszał wszystko? Nie mógłby odpowiedzieć, nie mógłby zebrać myśli, zmysłów. Czy słyszał to, co teraz mówił znów cichutko i jakby bezdźwięcznie gość jego tragiczny, upiorowy?

»To wszystko, co miałem powiedzieć. Przepraszam, że panu tyle czasu zabrałem — ale myślałem, że to pana zajmie, że się pan z tego uśmieje serdecznie, gdy będzie pan z kochankami swemi, które oddaliłem osobiście na godzinkę od pańskiego progu — gdy pan wejdzie rano do pokoju dzieci swych, które wołać będą: »Myśmy się tak bały — pokój papy był pusty — skąd papa wraca?« Gdy będzie pan stawiał góry złota na zielonym stole u wydawców swych... Dobra noc... panu!«

Jak automat nie wiedzący, co czyni, powstał poeta, by odprowadzić wedle zwyczaju gościa

do drzwi. Droga ta krótka wydała mu się najcięższą w życiu, kalwaryjską, nie mającą końca — nigdy, nigdy...

Młodzieniec, jakby wyczytał i to w jego duszy, położył rękę na jego ramieniu.

»Niech się pan nie trudzi — dziękuję panu — tędy będzie bliżej!...«

I wskazał mu okno.

»Pan myślisz, że to niebezpieczne? Gdzie tam! Czy to trzecie piętro, czy parter, to dziś obojętne dla mnie — cienia i dla pana — poety! Dziękuję i... do widzenia!!!«

Jednym skokiem znalazł się na gzymsie marmurowym okna.

Poeta podczołgał się raczej, niż podszedł do niego — wyciągnął rękę... pustkę już tylko uchwycił...

Z dołu doleciał go stuk jedyny, głuchy, bez echa, bez rozgłosu...

— — — — — — — — — — —

A w powietrzu brzmiało złowrogo, zabójczo: do widzenia, do widzenia, do widzenia!!!

Opuścił rękę i uczuł pod palcami mały, ciepły jeszcze rewolwer.

DZIKIE WINO.

Czerwienią się, okrywają złotem i purpurą szerokie, rozłożyste liście dzikiego wina, gdy zacznie się panowanie jesieni.

Rumieni się dzikie wino po ogrodach i parkach, zda ci się, że gdzieś z góry, z pod liściastej korony drzewa głowę zwiesiła omdlewającą dusza jesiennej poświaty, w latorość dzikiego wina zaklęta, i że to włos jej wzdłuż pnia się rozwiał, bujny, mieniący się, barw zapożyczywszy od krwawej zorzy zachodu. Wonczas, gdy czerwone i żółte grona dojrzewają na winnej, szlachetnej macicy, szkarłatnem i żółtem liściem okrywa się i chełpi dzika winna latorość.

Dawnymi czasy była to gałęź szlachetnego szczepu, okazała, pełna wdzięku, owocami okrywająca się co roku. Pięła się po brzozowych białych łatach, wzniesionych wzdłuż muru, na który padało pełne, południowe słońce. Ptaki niebieskie ukochały ją i gniazda wiły wśród szczebiotu w jej gałęziach, w cieniu jej szerokich,

jak troskliwa, opiekuńcza dłoń liściach, słońce głaskało zwisające jagody, darząc je słodyczą i puchem barwistym, a rosa wieczorna zmywała z niej wszelki kurz, wszelką możliwą zmazę. Ale winna latorość nie cieszyła się swem życiem, swym losem, który był szczęśliwszym od losu tylu innych roślin.

Zapragnęła innego, szerszego świata, poczęła jedną, to drugą macką ciekawie zaglądać po za swą bielutką łatę. Piękniej jej się tam być zdawało, wolniej, rozkoszniej. Więc po za mur się przerzuciła, na stronę północną, ciemną i zimną. Przechodziły po nad gontowy daszek jedna po drugiej delikatne, długie gałązki, coraz żwawiej, coraz śmielej. I ciągle wmawiała w siebie, że tam piękniej, że tam dopiero po tamtej stronie żyć można swobodnem, pełnem życiem.

»Nie wiedzieć też, po co mam się więzić i cierpieć niewygodę na tej drewnianej kracie, nieznośnej, szkaradnej! Po co co roku mam dawać się ciąć i przeginać na wszystkie strony, po co mam dawać ludziom obrywać moje śliczne soczyste grona, nie nacieszywszy się nawet niemi do syta. Tam — co innego! Tam mam ciszę i spokój; tam nikt nie będzie mnie szukał,

nikt ciął, nikt prześladował. Stąd nic nie widzę; przed sobą mam jakieś podłe jarzyny, nad sobą obrzydłe daszysko. — Tam mam cały świat u mych stóp — już go trochę widziałam i wiem, że to jedno jest godne mej natury najszlachetniejszej z pomiędzy roślin. Najważniejsza teraz rzecz, co powie mój rodzic, stary szczep. Jemu tu dobrze, on tu od urodzenia zżył się z tym dachem i tym ogrodem — ale ja — no, ja, to przecież całkiem coś innego!«

I zaczęła się przymilać i zaklinać pień ojczysty, by jej pozwolił własnem żyć życiem. A stary doświadczony szczep, co kochał wszystkie dzieci swe, zaszumiał liśćmi i rzekł:

»Smutno mi, córeczko, smutno, że szczęścia twego ocenić nie umiesz, że ci tu źle się być wydaje. Patrz na mnie, na siostry twe, które od tylu lat trzymamy się tego muru i rośniemy, ciesząc się tem, co nas otacza i owocem, który wydajemy. Ptaki przychodzą do nas ze śpiewem, pszczoły nas odwiedzają, opowiadając swe przygody. Zostań tu, dziecię, zostań przy nas.«

Ale młoda gałązka uparła się i nie dawała za wygraną, choć długo i mądrze w podobny sposób przemawiał pień sędziwy, mówiły siostry.

»Ha, nie mogę cię zmuszać wbrew twej woli! Dziś w świecie i u nas także wszystko się rozprzęga, wszelkie węzły rozluźniają, wszystko do własnego dąży bytu niezawisłego, nieodpowiedzialnego. A może poznasz kiedyś, że miałem słuszność, że dobra twego pragnąłem i pragnę. Ale idź — odłącz się od nas i niech ci na obczyźnie lepiej będzie. Ale to jedno ci jeszcze powiem: tam owocu nie wydasz, córko moja!«

Zwiesiła smutnie głowę, zasmucona temi słowami gałązka. Walkę z sobą stoczyć musiała; z jednej strony swoboda, wolność, z drugiej owoce piękne, soczyste, jakby były ze szkła najczystszego, z których tak uradowaną, tak dumną bywała co roku.

»Ostatecznie, po co mi się tem martwić! Może to nieprawda? Może szczep o tem nie wie dokładnie? — A zresztą, do czego mi one? Wszak tylko ludzie z nich mają pożytek. A ja służyć nie chcę nikomu, nie będę pracować dla ludzi, tegoby jeszcze brakowało! Żyć chcę dla siebie, zrównouprawnić się ze wszystkiem, co dla siebie się stroi i kwitnie, wyzwolić z pod tyranii i ucisku. Że owoców nie będę miała — w to mi graj — to mi teraz bardzo na rękę!«

Oddzieliła się tedy, oderwała od winnej macicy i przeniosła na północną stronę muru, gdzie zapuściła korzenie w twardej, suchej ziemi. Gdy to załatwiła, rozejrzała się. Smutno tu było, zimno — nie tak jak jej się wydawało, gdy na szczycie daszku rozglądała się po świecie nowym, nęcącym, pełnym barw i woni.

Ptaszki tu nie przychodziły wcale, czasem tylko kruk zakrakał, lub puhacz zahuczał nocą. I słońca nie było ani promyka, ani muchy nie zobaczyć nawet na lekarstwo. A na ziemi badyle i burzany, pomiędzy któremi przechadzały się żaby. One jedne miło i tęskno rzechotały, jakby płakały do słońca, do wolności, której nie znały, o której nawet marzyć nie mogły.

I przeszło smutnie dla naszej gałązki lato — nadeszła jesień.

»Teraz tam — po drugiej stronie stoją siostry moje w całej krasie swych czerwonych i żółtych jagódek. A ja?«

I serce jej się ścisnęło bardziej niż kiedykolwiek.

»Na złość im pokażę, że mogę i ja mieć owoce!« I wysilała się na owoc, a obojętnem stało się dla niej wszystko inne. Ale jagody,

których kilka utworzyło się było, były nędzne i maleńkie, jak główki od szpilki, a tak kwaśne, że muchy nawet od nich uciekały. Nuż zapłakała winna gałąź serdecznie, zapłakała nad dumą swą i nad szaleństwem swem. I modliła się do potężnego Boga roślinnego świata — który pieczę ma nad najmniejszą trawką i najsłabszą gałązką. I stało się, że gdzie padła łza na jej liść zielony, zamieniała się odrazu w perełkę barwną, która liść cały okrywała purpurą i złotem. Wnet szczep cały zajaśniał kolorami tęczy.

I tak dzieje się corocznie.

Dzikie wino, co rozpostarło się po ogrodach i parkach, pokryło sobą parkany i pnie drzew, okrywa się rok rocznie jesienią, gdy szlachetna macica winna owoc wydaje, barwami liści swych i oko ludzkie widokiem swym poi ono, co nie chciało ludzi karmić jagodami swemi. I zda się, że barwy te głoszą ową starą prawdę, iż ktokolwiek odłącza się od pnia, od macicy swej, owocu nie wyda. I zarumieni się czasu tego, gdy owoc mu przynieść wypada i pożółknie dzikie wino na świadectwo tej prawdy, wedle której Bóg Stwórca żyć kazał, posłannictwo i powołanie każdej rzeczy nadając. O, dziki

szczepie winny, wspaniały w niepłodności swej, nie tobie już myśleć o winobraniu, gdy do koszy ładują ciężkie, dojrzałe grona, nie tobie już myśleć! Ale i dla ciebie może czas nadejdzie, gdy wolno ci będzie złączyć się z winną macierzą twą i w stare wtedy wszedłszy obowiązki, powrócisz i do praw swych.

Ale i od ciebie odłączy się z czasem gałązka dumna i swawolna, bo póki świata, wino będzie szlachetne i wino będzie dzikie, by potwierdzoną była po wsze czasy prawda, wyrzeczona przed wiekami przez Pana.

ŚWIATŁO W CIEMNOŚCI.

Oparłem się na poręczy klasztornego krużganku. Przy mnie stał gwardyan staruszek, z wieńcem srebrnych włosów nad czołem, z pogodą wielką i jakiemś zadumaniem nieziemskiem na twarzy.

Cichym było to, letnim wieczorem, co roztaczał zwolna swe skrzydła nad znużonym światem. Ze stojących naprzeciw borów, które rozłożyły się na okolicznych górach, dochodził nas pełnemi, dźwięcznemi falami pożegnalny szczebiot ptaków, tulących się bezpiecznie do gniazd swych... Zresztą cisza była zupełna w tym odległym od gwaru i zgiełku świata zakątku, jak stworzonym do myśli wyższych, doskonalszych, uświęcających.

Takim też był i cały duch klasztoru: cichy, pracowity, błogosławiony. Szare w nim postacie miały coś w swej szarzyźnie, co błyszczało trwalej od złota i klejnotów, co przyciągało, roz-

grzewało tego, co się z niemi zetknął. Szli oni spokojnie swą drogą, samotną i twardą i żyli wśród świata, dobrze czynili współbraci swej, a jakby nie byli z pomiędzy tego świata, tak oślepiającego, tak zaprzątającego nas, tak szukającego siebie.

Staliśmy razem na cudnie rzeźbionym krużganku, nie mając innego światła, jak migotanie pierwszych gwiazd, zapalających się na niebie i jakieś przeczucie księżyca, który nie wszedł był jeszcze ponad czarną linię lasów.

Mówiłem o miastach, które zwiedzałem w ciągu mej pielgrzymki po kuli ziemskiej i we wspomnieniu mem oblekałem je w szaty zmierzchu, obdarzałem pulsem wieczoru.

O tej właśnie godzinie zapala się nad miastem łuna i aż bije pod niebo przy odgłosie codziennego ruchu i zgiełku. Zapalają się setne łukowe i żarowe, gazowe i naftowe lampy, oświetlają się sztuką ludzką place, ulice, budynki, salony. I nikt nie podnosi oczu ku niebu, gdzie stokroć piękniejsze, doskonalsze zapalają się światy, bo każdego trzymają w napięciu owe kaganki ludzkie. A przy tych sobótkach ziemskich rodzaj ludzki goni i gorączkuje się, bawi

się i pląsa, rozpacza i płacze; w dusznej aureoli tego morza świateł mieni się pawia próżność, połyska tombak i pozłótka, zło nawet, przymrużając oczy, roztacza swe panowanie.

Tylko domy Boże czarne, poważne tworzą plamy, rzucają długie, melancholijne cienie, jakby zasmucone życiem tych liczmanów artyzmu i wynalazku. One jedne ze swą lampką wieczną, co drga, jak łza krwawa w ich głębiach, umieją uczcić ten majestat nocy, te spoczywające rządy w spoczynku wszechrzeczy. Jak i te lasy na wzgórzach, jak ptaszki w gniazdkach swych, te ciemne mury zakonne po cichych zakątkach i ci szarzy ludzie, stąpający, z tą Bożą lampką ducha, pewnie i wytrwale po gwiaździstych drogach Pana...

»Pomnę, czytałem kiedyś, że, gdy się wzniesiemy w górę, ziemia przedstawia się naszemu oku w zmienionym kształcie. Z kulistej przechodzi w rodzaj czaszy głębokiej, której przepaść zawrotna zwiększa się, im wyżej się wznosimy... Biorę to jako słaby symbol wzroku, jakim Wszechwiedzące Miłosierdzie na ziemię spogląda. Ono, tak jak nie naszą mierzy miarą, patrzy na rzeczy okiem nie wedle oka naszego,

ale całkiem odmiennie... O, przypomnijmy sobie tylko... Jest Królem całego stworzenia widzialnego i niewidzialnego i Stwórcą wszechświata... Daje się przybić do krzyża własnym swym stworzeniom i największemu z nędzników danem jest wskutek grzechów jego głębiej wbijać tępe gwoździe w te przebite, a tak miłosierne ręce, silniej zaciskać wieniec cierniowy na obolałej, a tak świętej głowie! Tak — tak — Boże mój niepojęty, o, Boże mój kochany! — Bracie, gdybyśmy to my, ludzie ci sami, którzy potwarzamy i urągamy Synowi Bożemu, dzieci mroków, wołający z pogardą i niewiarą: ...jeźliś Bogiem, stąpże teraz z tego krzyża Twego!!... gdybyśmy na sobie odczuć mogli przez chwil kilka, co cierpi, jak słabnie i kona ten Bóg wszechmocny na krzyżowym swym Tronie — gdybyśmy w duszy naszej pysznej, samowolnej, przez jeden krwi obieg znieść mogli ten wicher osamotnienia i smutku, który pustoszy, obnaża i mrozi serdeczną duszę Tego, Którego każde bicie serca jest kochaniem — Który tylko echa tej miłości szuka i łaknie i pragnie przyjaźni tej — to przekonany jestem, że zgięłyby się najsztywniejsze kolana, zmiękłyby i najtwardsze serca, zaszłyby

łzami i najbardziej wysuszone i oziębłe oczy... I byłoby Pawłów wielu, bo po takiej kalwaryjskiej męce nie można nadal być Szawłem, jak się jest jedynie — człowiekiem!...

Widzisz tedy, kochany, że Boży punkt patrzenia inny jest od ludzkiego. W obliczu Jego góry są nizinami, a duch Jego przebywa w dolinach, między ubogimi duchem! Suscitans a terra inopem et de stercore erigens pauperem, jak w Magnificat śpiewamy na nieszpór. Dość spojrzeć na Betleem, na Dzieciątko, co już jest Chrystusem — Barankiem — i przed którym padają na twarze i niebo i ziemia i piekło!

Pozwól mi tedy sądzić, że owe światła wspaniałe, olśniewające, które zapala sztuka ludzka nad miastem, w noc się pogrążającem, mniejszej są w oczach Bożych ceny i wartości od słabo oświetlonej izby ludzi prostych, robotników, rzemieślników, w której to rodzina cała u stóp obrazka Maryi, przybitego nad tapczanem, modli się i bije jak ów celnik w piersi — a do stołu przymocowana jedna oświeca ich świeczka!

I wszelka światłość, która, chełpiąc się, mieni być ludzkość doskonałym wyrazem cywilizacyi i twórczej siły, jest z powodu służby swej

światu na drodze złego, na szerokiej ulicy grzechu ciemnością i nocą w oczach Bożych... które w światełku centowego stoczka widzą odblask Swej Światłości, Tej, Która jest jedynie szczerem Światłem i prawdziwym Dniem...

Zawsze mi się zdaje i często sobie rozważam w duchu, że gdy Bóg patrzy na ziemię naszą, to widzi ciemości tam, gdzie biedne oczy nasze w ziemskiej powłoce i ziemską jedynie siłą patrzenia obdarzone, morze widzą światła. On lubuje się w gwiazdeczce na niebie, większej od całej ziemi naszej, w malutkiem światełku lubuje się świętojańskiego robaczka... każe wątłej roślince zwracać się ku światłu — słonecznikowi znaczyć na ziemi biegi słońca każe...

I lepiej robi człowiek, gdy chowa marne, bo doczesne światło swe pod korzec, jeżeli nie ma zamiaru zapalić stoczka swej duszy u znicza światłości Bożej... Wtedy dopiero ma błogosławione prawo nieść tę gwiazdę przed sobą — jako panna mądra i pasterz dobry... A dusza stanie się cudem jasnem, pogodnem, odzwierciedleniem mlecznej drogi Bożej, miliarda światów, co świecą i czuwają, koją i krzepią, drogowskaźne, prawdziwe, życiodajne Boże oczy w ciemnościach!!...

Noc była zapadła, gwiaździsta, księżycowa noc letnia. U stóp naszych w cieniu śpiącego, świętego klasztoru z jednej, a dumającego tajemniczo lasogórskiego z drugiej strony uroczyska bielały nad strumykiem rozłożone jasne chaty klasztornej wioski. Tu i owdzie błyszczały gwiazdki w okienkach. Tu i owdzie wołały dusze o światłość Bożą w ciemnościach.

Powoli wyciągnął stary, srebrnowłosy mnich prawicę swą drżącą i kreślić począł nad górą i lasem, rzeką i wioską ów wielki, przejasny znak chrześcijaństwa...

Potem głowę pochylił nizko, niziutko ręce skrzyżował pod ubogą swą szarą szatą i szepnął zwrócony ku mnie:

— Niech będzie pochwalony Chrystus Jezus.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

PRZYPOWIEŚĆ O CHLEBIE.

Cały wzburzony łapie mnie mój znajomy na ulicy i w bezładnej, gwałtownej mowie opowiada przygodę, która mu się właśnie co przydarzyła.

Poszedł do podmiejskiego lasu na orzechy. U skraju ujrzał starą babę, siedzącą przy koszu pięknych laskowych orzechów, która, zachwalając swój towar, kupno tegoż mu przedstawia.

On dziękuje, dodając, że idzie właśnie w tym celu do leszczyny. Wtedy przekupka uśmiechając się, woła policyanta, który mu tłumaczy, że wedle ostatniego rozporządzenia królewskiego nikomu nie wolno samemu zrywać orzechów, i radzi, by się u przekupki, mającej pozwolenie na tę sprzedaż, zaopatrzył. To znajomego mego w taki wprowadziło gniew, że nawymyślawszy babie i policyantowi na czem świat stoi, nie mógł się uspokoić i przyjść do równowagi.

— I cóż ty na to, ha? To bezprawie, to napaść na gładkiej drodze — to...

— Powiedzieć ci moje zdanie? Cała ta twoja przygoda jest niezwykle ciekawą i sam przyznasz, niecodzienną, ale rzecz sama jest słuszna i sprawiedliwa — jeżeli weźmiemy pod uwagę...

— Co uwagę — pod jaką uwagę? To niesprawiedliwość bijąca w oczy — tyrania — ukrócenie osobistej wolności...

Zaprowadziłem go do pewnej ustronnej kawiarni, gdzie można było porozmawiać bez przeszkody.

— Hm, hm, więc i ty pochwalasz ów dziś modny, ciekawy sposób, polegający na tem, że wykluczyć należy zupełnie wszelkie osobiste poszukiwanie i dociekanie, a poddać się we wielu rzeczach, że nie powiem we wszystkiem, prawom, przepisom, ustawom, ukazom i dogmatom, które nas krępują i wiążą nam ręce w jakiejkolwiek samodzielnej pracy i czynności. Ślepe, bezkrytyczne poddanie się, to wasze hasło! Ale co tu gadać; mnie chyba przysługuje prawo szukania i zrywania sobie orzecha osobiście i kiedy chcę, a nie muszę je dostawać i brać je z łaski jakiegoś zarządzenia czy ustawy.

— Pozwól mój drogi. Porównanie, którego użyłeś, nie jest dobre. Wszak chodzi ci o prawdę, wszak tak? Ale orzechy, widzisz, nie są do życia konieczne, lepiej weźmy na ten przykład coś potrzebniejszego, coś niezbędnego — chleb.

Chleb, to bowiem jest bezsprzecznie dla nas substancyą konieczną, prosimy o niego mówiąc — »chleba naszego powszedniego« — bo po wsze dnie jest nam do życia potrzebny. Zarówno chleba nam potrzeba, jak powietrza, światła, wody. A przecież to wszystko nam się nie należy, to są dary, darmo nam dane, bez naszej pracy i starania, bez prośby nawet. Wszyscy, bez wyjątku, mamy je pod ręką faktem tym, że żyjemy. Można je przeto nazwać, wszystkie te rzeczy konieczne, te dary — chlebem codziennym, powszednim, bo bez nich nie byłoby życie możliwe. Weźmy też pod uwagę i życie samo: dane nam ono bez wolnej naszej woli, bez jakiegokolwiek współdziałania z naszej strony. A przecież nie wyrzucamy sobie w sumieniu, że żyjemy, że używamy danego nam życia! Również tego za złe nie mamy sobie samym, że korzystamy i używamy powietrza, światła i wody bez pracy, bez wysiłku z naszej

strony. Czemuż więc odrzucać mamy prawdę, która podaną nam bywa jak i tamte dary, tę prawdę, która słusznie nazwaną być może chlebem powszednim ducha? Boć my duchowo żyjemy, obracamy się i czerpiemy siły moralne w tej prawdzie, tak jak fizycznie żyjemy w powietrzu i z chleba materyalnego, z którego siły fizyczne czerpiemy. Gdybyśmy mieli wolną wolą i samodzielną wyłącznie pracą dochodzić do prawdy, to albobyśmy nie doszli do niej nigdy z powodu niedoskonałości i słabości naszej, albo stworzylibyśmy sobie jakieś liczmany, surogaty prawdy, i w nie składalibyśmy wiary naszej, jak w relikwiarze bożyszczy pogańskich. I czy seryo możemy myśleć o tem, że takie prawdy, niedoskonałe lub wręcz fałszywe, a więc nieprawdy właściwie, nas zadowolą, gdy z punktu patrzenia wyższego na nie patrzeć będziemy! Chyba nie, a to zadowolenie, żeśmy je własną pracą i zapobiegliwością w wolnej woli i wolności naszej niejako stworzyli, zbudowali, obróci się w niwecz, w gorycz i zniechęcenie.

Czy my nad tem cierpimy, że nie zawieszamy słońca na niebie, że nie zapalamy gwiazd i księżyca, że nie władamy jako mocarze, lub

też choćby odpowiedzialni redaktorzy powietrzem, co otacza ziemię całą pasem takiej a takiej objętości, że wreszcie, choć chleb tworzymy, ale jednego ziarnka zboża stworzyć nie możemy pomimo wszystkich narzędzi, wynalazków i całej wiedzy naszej, bezsprzecznie ogromnej. A w tej wiedzy właśnie, czy nie przyjmujemy co dzień, co chwila całego mnóstwa prawd i dogmatów, nie mając sobie za złe, że sami tych wszystkich prawd wiedzy nie stwarzamy?

Spróbój, mój kochany, odrzucić wszelkie prawdy ludzkiej wiedzy i wiadomości, do których sam własną pracą nie doszedłeś, odrzuć dalej — logicznym tylko będąc, wszelki pokarm, którego istotę nie stworzyłeś własną pracą swą i wolną swą wolą, odrzuć dalej powietrze i światło, bo nie są one tworami twymi — i powiedz mi wtedy z ręką na sumieniu, czy będziesz przez to szczęśliwszy i spokojniejszy — powiedz mi szczerze, czy żyć będziesz mógł wogóle? Czy przyjąwszy, że istnieć będziesz, nie będziesz jakimś tworem niesamowitym, zagadką niebytu, niezdolnym do niczego. niepożytecznym, wykolejonym? A gdy to odniesiesz do świata

duchowego — to zgubisz się w mrokach nocy, którą tam zastaniesz, której mocą własnego ducha nie potrafisz rozproszyć, ni oświecić. — I pytam się, czy nie wpadniesz w ręce, zawsze wyciągnięte, króla ciemności i nieprawdy, zanim choć jedną prawdę wykrzeszesz ze słabych i mglistych twych dążeń, twych marzeń o pracy osobistej i wyłącznem działaniu wolnej twej woli? Tak, jak powietrze i woda, światło i chleb były przed przyjściem twem na świat i zostaną w świecie i po zejściu twem z niego, gdy odwołanym zostaniesz wbrew twej woli i twej rachubie na przekór, tak prawdy wielkie, konieczne, niezbędne do życia duchowego, będące prawdziwą wolnością tego ducha i używaniem, rozkoszą jego, i były przed tobą i będą po tobie i w niczem ich to nie zmieni, nic ich nie zmąci ani wzruszy, czy ty się im poddasz, czy nie. Ale ty stokroć więcej, stokroć głębiej i niebezpieczniej wzruszysz się i wstrząśniesz, gdy staniesz okoniem wobec tych prawd, gdy opancerzysz się duchem pychy i samolubstwa, zamiast szarej, ale nadewszystko cennej szaty pokory, która przyjmuje dary, darmo dane dla życia fizycznego, która się korzy

przed darami, darmo danymi dla życia duchowego tutaj, którem to życiem my sobie zjednywamy, a wolną wolą, pracą i zapobiegliwością naszą zapracowujemy na żywot inny, wieczny. I choć żywota tego przejściowego, chwilowego nie mamy w wolnej woli naszej, szczególnie co do początku jego, to mamy wolność zupełną co do naszego miejsca w życiu wiecznem. Choć nie mamy pracować nad tem, by nowe prawdy tworzyć, obaliwszy te, co dane nam zostały i któreśmy zastali — to mamy przy pomocy właśnie tych prawd, w ich świetle i atmosferze dążyć do zdobycia sobie własną pracą, staraniem i zapobiegliwością złączenia jak najsilniejszego, najlepszego z tym, co te prawdy dał i im posłusznym być kazał.

Czyż tedy nie miałem racyi, mój kochany, powiedzieć ci na początku tego kazania, wybacz mi to słowo, ot, lepiej powiedzmy, przypowieści o chlebie, że w odniesieniu do prawdy, twe wesołe zdarzenie, wywołane apetytem na laskowe orzechy, jest słusznem i sprawiedliwem, gdyż las ten, ten leszczynowy zagajnik jest własnością tego, który wydał owe rozporządzenie — a nie twoją... więc — — — — — — — —«

Ale znajomy mój, znudzony widać i jeszcze w duchu niepogodzony ze swym losem chwycił za kapelusz i poczęstowawszy mnie na pożegnanie paru przezwiskami, któremi obdarzył był przed godzinką nieszczęsnych aktorów całej tej historycznej historyjki, trzasnął drzwiami i wyszedł. Ja zaś skorzystałem z tego, by wcielić to zajście wraz z naszą rozmową do zbiorku moich przypowieści.

„...POKOJ MÓJ DAJĘ WAM..."

JAKO ZAKOŃCZENIE.

Lepszy jest zaprawdę oracz pokorny,
który Bogu służy, niż pyszny
Filozof, który, samego siebie
zaniedbawszy, biegom się
na niebie przypatruje.

(Z „Naśl. Ch." ks. III. rozd. II.)

Po włoskich miasteczkach i wioskach, uczepionych do stoków gór jak gniazda jaskółcze spotkać można wszędzie lepiej lub gorzej zachowane freski i antyki.

Tu na narożniku wysokiej, wązkiej kamienicy znajduje się pod blaszanym, pogiętym swym daszkiem Madonna, nad Dzieciątkiem nachylona — tam znów wyblakły od deszczów i wiatrów Św. Franciszek »il poverello di Dio« łatwy do poznania po promieniach, idących od stygmatów — owdzie wreszcie nad wyszczerbioną lampką krata zardzewiała, a za nią dużych, spokojnych i świętych oczu para, błogo patrzących z ram marmurowej, pełnej uroku wnęki. A przed tymi freskami nierzadko ujrzeć można proste pobożne exvota, koronkę lub szkaplerzyk, czasem zeschniętych kwiatów wiązankę, lub pokruszony od czasu wianek mirtowy, którego wstążeczki trzepocą się, jakby ulecieć chciały do

Maryi lub Świętego, wraz z przywiązanem do nich westchnieniem.

Winobranie zbliżało się ku końcowi. Co chwila spotykaliśmy do La Rocca, skromnej umbryjskiej mieściny, dążące z winnic, rozłożonych na stokach Apeninów, osły, obładowane koszami i tego osobliwego kształtu wiadrami, z których na drogę padały od czasu do czasu wspaniałe, soczyste grona. Zwracaliśmy na to uwagę idącego w czerwonej koszuli i niebieskim pasie śpiewającego na zabój poganiacza, a on je podnosił i nam podawał w ten tak ujmujący włoski sposób, z tą wrodzoną i wieśniakowi grandezzą, ten czarnooki, zgrabny i wysmukły chłopak, w którym przebijała instynktownie wolna, dzielna krew Kwirytów —

Obszerna, żyzna równina, przecięta krzywemi liniami drzew oliwkowych, rozciągała się przed nami. W jasnem, jakby przezroczystem powietrzu, przepojonem jesienią, rysowały się w oddali do gór się tulące wioski, domy pięły się po głazach szare, porysowane, na sinem, popękanem tle, wieże świątyń wiekowych szanownych strzelały w górę, tu i owdzie sterczały jeszcze ciosowe mury castelli rozpadającemi się

obwarowaniami i wałami opasane, na których rosły dęby, wawrzyny i pinie, wiecznie zielone i szumiące na nutę dawnych rycerskich czasów, po których pieśń została jakaś lub legenda — w której występował mąż święty, natchniona dziewica — — — — — — — — — — — —

W skupieniu i z podniosłem uczuciem odbywaliśmy przechadzkę naszą. Ludzie miejscami dobroduszni i pełni tej swobody i poufałości południa prowadzili nas do kościołów i kaplic, by pokazać nam jakiś grobowiec bardzo stary, rozpadający się w pył, jakiś fresk na pół umarły na białym, wilgotnym murze, jakiś — — nie zapamiętać tych rzeczy przeróżnych, ongi cennych i wspaniałych, dziś okrytych patyną dziwnie przejmującą i szacowną. Zwiedzaliśmy też pełne smutnej poezyi zasadzone cyprysem i laurem, obrośnięte głogiem i bukszpanem campi santi z krzyżem zmurszałym i walącą się gotycką bramką i zmęczeni wstępowaliśmy do wioskowych osterii, o dużych bramach, brudnych dziedzińcach, zakurzonych, zadymionych izbach — — — pełna wesołości i typowego wdzięku donna stawiała przed nami, śmiejąc się i nucąc, chleb i ser — dolewała chianti słodkie,

młode — — — może dopiero co odłączone od tych gron w kobiałkach, od tych winnic, oblanych słońcem, od tej żyznej Umbryi rodzimej — — —

W jednej z tych wiosek, co żywo przypominają galilejską Kanę i Kafarnaum za czasów, gdy Człowiek Dobra i Słodyczy wchodził w ich nizkie i oblężone przekupniami bramy — zaprowadzono nas do domu pewnych staruszków, by nam pokazać fresk rzadki, niezwykły.

Weszliśmy do domu kuźnią, przepełnioną żelazem i narzędziami różnego rodzaju i po schodach stromych, drabinie raczej, dostaliśmy się na górne pięterko.

Staruszkowie siedzieli blisko siebie, przy stole w nizkiej izdebce, której jedyne okienko wychodziło na równinę. Czysta, bielona stancyjka, zaopatrzona łóżkiem, stołem z prostego, białego drzewa, dwoma czy trzema stołkami — — — ogromny, hebanowy Ukrzyżowany, przeniesiony tu pomnik innych czasów, panować zdał się tej białej, cichej izbie, tej białowłosej, pogodnej parze — — — Nad oknem widniał ów fresk, który nas tu przywiódł.

Nie mogę go opisać: zatarł się on w mej pamięci, jak zatarł był na murze, gdzie bawiły oko już resztki wspaniałych, z wielką maestryą rzuconych barw i linii — ale oboje ci starzy, co nam go objaśniali mową wolną, drżącą, staroświecką zapewne utkwili mi w pamięci — i dziś jeszcze stoją mi w oczach, po latach tylu, zgarbieni, ku ziemi pochyleni, dziadek z kościstym palcem wzniesionym ku obrazowi, babka błogo uśmiechnięta i w męża jak w tęczę, jak w swe szczęście wpatrzona. — — — Nie zapomnę ich nigdy, tej pary zeszłej jakby z jakichś szlachetnych, a kosztownych bardzo ram, które dawno zniszczały, w pył się rozpadły — — — tej zjawy spokojnej, dobrotliwej godności i słodkiego pokoju, jaki rzadko schodzi na ziemię i to gdzieś od nieba progów, rzadko, i nie na długo: — — — Pokój mój daję wam, nie jako świat dawa! — — —

Pokazali nam ze słowem: skarby, co mi jeszcze brzmi w uszach, książki swe. Posiadali oni oprawne w gruby, wyciskany artystycznie pergamin, na jakimś niezniszczalnym papierze, czcionkami italickimi z początku 17. wieku drukowane — dwie jedynie książki, co były całą ich

biblioteką, całem, jak mówili z rozrzewnieniem: tesoro nostro! Owinięte w jakieś wypłowiałe jedwabie, leżały na stole podle wyprawnej zapewne jeszcze lampy, w formie anioła nocy, co twarz zasłania przed aniołem dnia i jego pochodnią... Z uczuciem dziwnego pietyzmu, z jakiem bierze się do rąk dawno zasuszone kwiaty lub z świętych miejscowości ikony — oglądaliśmy je, ja i Francesco.

O, wiedzcie, jakie to były książki!

Modlitewnik o takich dużych, dla wypłakanych oczu, literach, o wzruszająco prostych, prymitywnych obrazkach i tak mało w katolickim świecie czytany, jeszcze mniej stosowany, z nami zżyty Tomasz à Kempis! Kartki były pożółkłe, zużyte i odarte na brzegach — nie od leżenia chyba, oj, nie od leżenia! A wszędzie dopiski, daty i imiona, drobnem, lekkiem pismem,to męzkiem, to kobiecem — — pełno notatek — — —

I cóż tu dodać? Chyba głowę schylić nad drżącemi, pomarszczonemi rękami tych staruszków — — — chyba sercem im się pokłonić — — — — — — — — — — —

* * *

Wiele minęło lat od tych dni pielgrzymki po umbryjskiej równi. Wiele przeszło przed memi oczami obrazów, przez mózg imion i dat, przez życie wydarzeń... I rozwiały się nazwy, uleciały imiona. Ale zdarza mi się nieraz w środku ulicy, po której pędzą samochody, dzwonią tramwaje, biegnie, śmiejąc się ludzka fala, zdarza mi się wśród codziennej gonitwy za powszednim chlebem, wśród prac i zatrudnień zdarza się, gdy wieczorem zamykam do snu znużone, ciężkie powieki — że przed duszą mi staje izdebka czysta, bielona, zaopatrzona łóżkiem, stołem z prostego, białego drzewa, dwoma czy trzema stołkami — ogromny hebanowy Ukrzyżowany przeniesiony tu pomnik innych czasów, panować i błogosławić zda się, jak ongi błogosławił Abrahamowi i nasieniu jego na wieki — — Staruszkowie siedzą blisko siebie, przy stole, zgarbieni, ku ziemi pochyleni, dziadek, babka, drżące relikwiarze, białowłose relikwie — — i dwie książki, co tworzą całą ich bibliotekę, cały ich skarb! Książki — — zużyte na brzegach kartki — — obrazki — — zapiski — — O, wyście czytali je, Filemonie i Baucydo, czytali i odczytywali od deski do deski, wczytywali się

w te od łez wyblakłe litery — — wyście żyli wedle książek tych, one były pokarmem i skarbem dusz waszych, serc waszych, drogowskazem myśli zbożnych, czynów miłosiernych, świątobliwych! — —

Widzę to, czuję i przeżywam w sobie — — karmię się i poję tym obrazkiem, cenniejszym od wielu, wielu ludzkich malowideł, tym iście rzadkim, niezwykłym freskiem z życia!

A gdy rzucam to wspomnienie na białe karty, leżące przedemną, zdaje mi się, iż mam wrażenie, że układam jakieś dziwnie wonne, dziwnie jasne kwiaty w starożytną, a kosztowną bardzo czarę, wkładam z uczuciem dziwnego nabożeństwa przed wyszczerbioną lampką, zardzewiałą kratą, z za których dużych, spokojnych i świętych oczu para spogląda błogo na życie swe, na łzy swe i uśmiechy swoje — z ram marmurowej, pełnej uroku wnęki.

ST. STEPHANI
OFF. MIN. CONV.
PA.

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096414457